

Mirosława CHUDA

LEK ZABOBONNY

Wśród różnych odmian lęku, jakie nękają człowieka w jego codziennym życiu, pojawia się też – zapewne częściej, niż bylibyśmy skłonni to przyznać – lęk zabobonny. Zabobony i przesady (Słownik Języka Polskiego odróżnia te pojęcia, ale w literaturze przedmiotu i w mowie potocznej używane są one zamiennie), uznawane zwykle za skutek ignorancji lub religijnej niedojrzałości, nieobce są także wykształconym, praktykującym katolikom. Wielu z nich doświadcza irracjonalnego strachu przed rzekomymi zwiastunami nieszczęścia: czarnym kotem, liczbą trzynaście czy stłuczonym lustrem. Jedną z licznych definicji przesady, przytaczana przez psychologa Gustava Jahodę, określa ten fenomen właśnie jako „bezpodstawny lęk lub strach przed czymś nieznanym, tajemniczym albo urojonym”¹. Istnieją oczywiście przesady, którym towarzyszy raczej nadzieja niż obawa (na przykład wiara w to, że czterolistna koniczyna przynosi szczęście), i one jednak w swej genezie mają związek z lękiem. U źródeł wszelkich zabobonów leży bowiem poczucie bezradności wobec tego, co niesie przyszłość². Jak pisze Gilles Jean-guenin: „Słowo «zabobon» (łac. *superstitio* od słowa «*superstes*» – «pozostały, ocalały») odsyła do pierwotnego i podstawowego lęku, który niepokoi człowieka od początku jego istnienia – to znaczy od pojawienia się instynktu przetrwania. Już bowiem od zarania dziejów człowiek sięgał po rytuały, magiczne ceremonie i zabobonne gesty, starając się wpłynąć na to, co napawa go strachem i wymyka się spod jego kontroli: śmierć”³. W swej istocie zabobon opiera się na wierze w istnienie tajemnych mocy władnych zapewnić człowiekowi pomyślność bądź też sprowadzić na niego różnego rodzaju nieszczęścia i przekonaniu, że za pomocą pewnych zabiegów można moce te sobie zjednać, przechytrzyć je lub zabezpieczyć się przed ich działaniem. Dlatego nauczanie Kościoła wiąże zabobon z bałwochwalstwem, czyli wykroczeniem przeciwko pierwszemu przykazaniu⁴. Przeciętny Polak, który odziedziczywszy (pośrednio lub bezpośrednio) po przodkach lęk przed „wracaniem się” do domu po zapomniany przedmiot, siada przed ponownym opuszczeniem mieszkania, nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że pierwotnie gest ten miał zdezorientować jakieś bóstwa czy duchy – wierzy w jego skuteczność i nie szuka nawet irracjonalnych uzasadnień, nie uważa też, że zachowanie to ma jakikolwiek związek z magią.

¹ G. J a h o d a, *Psychologia przesady*, tłum. J. Jedlicki, PIW, Warszawa 1971, s. 18.

² Pogląd ten podziela wielu antropologów kulturowych, między innymi Bronisław Malinowski.

³ G. J e a n g u e n i n, *To nieprawda... ale wierzę! Dlaczego istnieją zabobony?*, tłum. P. Borto, Wydawnictwo Jedność, Kielce 2009, s. 121.

⁴ Por. *Katechizm Kościoła katolickiego*, nr 2110.

Jak czytamy w *Katechizmie Kościoła katolickiego*, „Zabobon jest wypaczeniem postawy religijnej oraz praktyk, jakie ona nakłada. Może on także dotyczyć kultu, który oddajemy prawdziwemu Bogu” (nr 2111). Na przykład w niektórych rejonach zachodniej Polski występuje przesąd zabraniający zajmowania się praniem w okresie między Bożym Narodzeniem a Wielkanocą. Kościół zaleca powstrzymanie się w tym czasie od prac niekoniecznych – ci, którzy dopuszczają się owej przesady higienicznej, nie obawiają się jednak duchowych skutków braku poszanowania oktawy ważnego święta, lecz niedostatku materialnego, na który będą skazani przez cały następny rok.

Przesady, chociaż zachowują żywotność przez wieki, mają swoją historię: powstają, zanikają, odradzają się lub ulegają przeobrażeniom. Zanikł na przykład popularny jeszcze kilkadziesiąt lat temu zwyczaj „łapania się za guzik” na widok kominiarza. Zapewnienie sobie w ten sposób szczęścia stało się niemożliwe, ponieważ osoby świadczące usługi kominiarskie nie odróżniają się już od innych przechodniów strojem ani atrybutami charakterystycznymi dla tej profesji (także wierzchnie okrycia coraz rzadziej wyposażone bywają w guziki).

W ostatnich latach pojawił się natomiast w naszym obszarze kulturowym, zarówno w sferze prywatnej, jak i publicznej, nowy przesąd: z zabobonnym lękiem unika się wypowiedziania słów „umarł” czy „zmarły”. Słowa te zostały wyeliminowane z codziennych rozmów, przemówień wygłaszanych na pogrzebach i publikacji wspomnieniowych, znikają nawet z nekrologów i klepsydr. W wymiarze werbalnym nie umiera się już, lecz odchodzi, zmarły stał się tym, który odszedł. Coraz częściej zdarza się, że również słowo „śmierć” zastępowane jest rzeczownikiem pochodnym od czasownika „odejść”.

Z psychologicznego punktu widzenia utrwalenie się tych eufemizmów łatwo wytłumaczyć: „odejście” nie desygnuje jedynie ostatecznej, budzącej przerażenie i żal sytuacji egzystencjalnej – odchodzi się przecież od kasy czy od okna; nie jest też naznaczone piętnem nieodwracalności – odchodzący niejednokrotnie powraca. Rola eufemizmu polegałaby tu zatem na osłabianiu negatywnej reakcji emocjonalnej (choć raczej nie spełnia on swej funkcji w przypadku licznej przecież grupy osób, od których odszedł współmałżonek, znalazłszy bardziej atrakcyjnego partnera). Wyjaśnienie psychologiczne okazuje się jednak niewystarczające – lęk przed kresem życia, czy to własnego, czy bliskiej osoby, towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów ludzkości, a przecież terminy jednoznacznie związane ze śmiercią pozostawały w powszechnym użyciu przez stulecia. Oczywiście należy tu uwzględnić obecną sytuację społeczno-kulturową: przemiany cywilizacyjne, prowadzące do kultu życia doczesnego, kryzysu wiary i utraty chrześcijańskiej nadziei niewątpliwie stanowią przyczynę wypierania ze świadomości społecznej faktu śmierci i wszystkiego, co się z nim wiąże. Mechanizm działania eufemizmu „odszedł” opierałby się więc na kontrolowaniu myśli poprzez kontrolowanie języka: uwolnimy się od rozpamiętywania spraw ostatecznych, jeśli z naszego słownika wyrugowane zostaną oznaczające te sprawy słowa. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że rodzina, która właśnie doświadczyła bolesnej straty i właściwie nie jest w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o śmierci, ucieka się do swoistej ekwilibrystyki językowej, aby relacjonując krewnym i znajomym okoliczności, w jakich nastąpił zgon jej członka, uniknąć słowa „umarł”?

Słowo to, niejako na naszych oczach, staje się słowem tabu – mamy tu do czynienia z próbą typowego dla przesądów zaklinalnia rzeczywistości. W sytuacji kryzysu, o którym była tu mowa (dotkliwie odczuwany w naszym kraju kryzys w dziedzinie opieki zdrowotnej zapewne też nie jest bez znaczenia), znękanie lękiem przed utratą doczesnego życia, bezradni wobec nieuchronności jego kresu ludzie bezrefleksyjnie i irracjonalnie

zmierzają w kierunku magii. Gdzieś z głębi zbiorowej podświadomości wyłania się wyrastająca z przekonań naszych przodków intuicja, że unikając słów „śmierć” czy „umrzeć”, w jakiś magiczny sposób oddalamy od siebie ten nieunikniony finał, a wypowiadając je – niejako samą śmierć przyzywamy. O człowieku, który mógł stanowić jakieś odległe ogniwo ciągnącego się za nami łańcucha pokoleń, Frazer pisał: „Nie jest [on] w stanie dostrzec różnicy między rzeczami a słowami, wobec czego zazwyczaj wyobraża sobie, że związek między [...] rzeczą i jej nazwą nie jest jedynie związkiem umownym czy też idealnym, lecz więzią rzeczywistą i silną, łączącą jedno z drugim”⁵. Na tym właśnie przekonaniu opierały się wierzenia, że dokonując zabiegów magicznych za pomocą słów, można wywierać wpływ na to, co one oznaczają. Z tego też powodu, według autora *Złotej gałęzi*, wiele słów ginęło lub zmieniało znaczenie⁶. Podobny mógłby spotkać i nasze „zakazane” słowa, gdyby nie zachowały się one w urzędach i sądach, gdzie nadal należy przedstawiać akt zgonu i zaświadczenie o stanie majątkowym zmarłego w chwili śmierci.

Fakt, że właśnie te instytucje okazały się odporne na zabobony lęk przed złamaniem tabu, zapewne nikogo nie dziwi. Zastanawiająca jest natomiast wyraźnie już zauważalna nieobecność słowa „umarł” w intencjach modlitw odczytywanych w kościołach – a więc w miejscach z całą pewnością nieskażonych magią – i homiliach głoszonych podczas nabożeństw żałobnych. Jego miejsce zajął zwrot „odszedł do Pana”. Zwrot ten jest adekwatny do sytuacji, którą określa, jednoznacznie bowiem wskazuje na fakt śmierci (nikt, słysząc te słowa podczas modlitw w intencji sąsiada, nie pomyśli, że udał się on do Pana śladem proroka Eliasza), nadużywany jednak i wypowiadany bez odpowiedniego komentarza, może spełniać tę funkcję psychologiczną, którą pełni „świecki” eufemizm „odszedł”. Ukazuje bowiem drogę, którą musi przebyć każdy człowiek, w dużym skrócie – z pominięciem przykrego jej etapu, jakim jest umieranie. Nie wiadomo, czy księża bezwiednie ulegają coraz bardziej upowszechniającemu się nawykowi językowemu, czy też celowo unikają słów, które mogłyby przysporzyć bólu pogrążonym w żalobie bliskim zmarłego. Byłaby to chyba jednak przesadna delikatność, bo przecież teksty odczytywane podczas liturgii wyraźnie uświadamiają wiernym, że trzeba umrzeć, aby zmartwychwstać.

Po tej dygresji powróćmy jednak do kwestii zabobonu i związanego z nim lęku. Kobieta, która zmienia trasę spaceru po spotkaniu czarnego kota, albo mężczyzna, który odpukuje w niemalowane drewno, żeby nie zapeszyć, oburzyliby się, gdyby ktoś zarzucił im fatalizm i bałwochwalstwo. Przesady bowiem zachowują zwykle pozór niewinnej zabawy (lub – jak w przypadku unikania słowa „umarł” – subtelności językowej) nawet wtedy, kiedy kończą się żarty, a zaczynają praktyki magiczne. „Ludzie, sięgający po te praktyki – pisze Jacek Salij OP – nie wiedzą o tym, że ostatecznym wymiarem rzeczywistości jest miłość, mają natomiast przecucie, że nie do nich należą ostateczne decyzje co do ich losu. W tej sytuacji zrozumiały jest potworny strach, jaki ich ogarnia”⁷.

⁵ J.G. Frazer, *Złota gałąź*, tłum. H. Krzeczowski, PIW, Warszawa 1965, s. 221.

⁶ Jeśli zwyczaj plemienny zabraniał wypowiadania imion osób zmarłych, a imiona te były jednocześnie nazwami pospolitymi, nieustannie następowały zmiany języka tego plemienia. Por. tamże, s. 226n.

⁷ J. Salij OP, *Moda na wróżby i czary*, <http://www.kryzys.org/archiwum2010/printview.php?t=4720&start=0&sid=0e181c03983af3eb4dc5a56686bd4553>.